

## Życie Warszawy

WARSZAWA

DZ. Nr 121 25-05-2001



FOT. ANDRZEJ MARZEC

Scena ze spektaklu

TEATR „AKROPOLIS” W NARODOWYM

# Pomniki nie ożyły

Pierwsze wzmianki o tym, że Stanisław Wyspiański pisze „Akropolis” ukazały się w krakowskiej prasie w marcu 1903 roku. Zdaniem Ryszarda Peryta, autora przygotowanej właśnie w warszawskim Teatrze Narodowym inscenizacji dramatu, choroba Wyspiańskiego była już wtedy bardzo zaawansowana, artysta martwiącą dłonią pisał pospiesznie oddawane do drukarni fragmenty utworu.

W istocie do śmierci pozostawało mu wówczas blisko pięć lat, a w 1905 roku zgłosił swoją kandydaturę na stanowisko dyrektora krakowskiego Teatru Miejskiego. Był więc pisząc „Akropolis” w pełni sił. Więcej, w tym czasie myślał też nad projektem restytucji i przebudowy wzgórza wawelskiego.

Nie bez powodu czas dramatu przypada na Noc Wielką Zmarłych, a miejscem akcji jest opustoszała po wieczornym nabożeństwie katedra wawelska.

Wawel był w życiu Wyspiańskiego prawdziwym centrum świata. Przez wiele lat wokół zamkowego wzgórza krążyła jego wyobraźnia. Był to rodzaj obsesji, zgoda, ale zarazem mocno inżynierskiej — współcześni wspominają, jak krążył po rusztowaniach i przyglądał się ścianom ze strzępami starych fresków, jak nocą, cichcem (bo go konserwatorzy nie chcieli wpuścić) odmierzał okna na witraże, które projektował — i które nigdy nie miały się tu znaleźć. Kwestia ówczesnego gustu i polityki...

Zatem, nie pożegnaniem ze światem jest „Akropolis” jak chce Ryszard Peryt, lecz rodzajem kontestacyjnego powitania wracającej, opuszczonej przez austriackie wojska, katedry. W „Akropolis” Wyspiański przyspieszył jej ożywianie na parę nocnych, wielkanocnych godzin. Jak przy braniu miary na witraż, chciał na ten czas zostać z nią zupełnie sam. Zaczynając dramat słowami: „Poszli, i na kościele ostawili dymu powłoczną chmurę” wygnał i złych, i dobrych. Wojując o wpływ na kształt ulubionej budowli wyśnił sobie literacką, prywatną przestrzeń, zaludnioną przez niknące cienie żywych ludzi, i w pozostałym po nich,

niemierzalnym cieple po swojemu ożywił katedrę, jej rzeźby i wielkie postaci z gobelinów. Miał wtedy 33 lata, w tym wieku dziś przechodzi się ostatecznie z punk-rocka w ambient, albo i wskakuje na smakowitą posadkę w biurze maklerskim. Wyspiański wybrał wędrówkę w Sztukę i Czas. Szedł długo, przez współczesność, przez „Iliadę” Homera i czas biblijny, by na końcu — spotkać Boga. Kwestią dzisiejszego gustu i polityki pozostaje, czy to był Bóg, czy bóg sztuki...

„Akropolis” nie jest zapisem odpowiedzi, lecz frenetyczną, fantastyczną, egocentryczną podróżą w katalog pytań. Można je czytać rozmaicie, ale warto pamiętać o tym, co wtedy zaprzętało wyobraźnię autora.

Spektakl w Teatrze Narodowym był okazją ku temu, by nie znany szerszej publiczności, szkicowy dramat Wyspiańskiego ogrzał serca tych, którym i tak jest bliski — a także, by zapukał do tych, którzy na dźwięk Słowa dostają dreszczy. Mógł „stać się moment wielki cesarza...” Ale, niestety, nie stał się. Dlaczego? Albowiem cechuje nas wybitny talent do uśmiercania własnej klasyki. Niby wszyscy Gombrowicza znają, czytają i szanują, ale jakoś do głów nie wszedł — więc owoc uśmiercania zaczyna się w szkole, trwa w liceum, jedzie przez studia i kończy wreszcie w telewizji. Ale pół biedy, gdy kapitalne, pełne temperamentu teksty są gwałcone przez nią, albo kino. Dramat staje się tragedią, gdy dostojny teatr własnymi rękoma ośmiesza to, z czego winien czerpać energię. Kultura polega bowiem na tym, że jest ciągle, że ciągle bawi się sobą samą. Cytuje, obrabia motywy, trawestuje, a czasem po prostu wraca do czegoś, i na moment to cenne „coś” zwyczajnie rozmraża. Bo zmieniło się pokolenie, nastał szczególnie moment, albo miało miejsce zdarzenie, które do dało ognia rytmowi serca statystycznego obywatela.

Mówi się, że „Akropolis” to „Dziady” Wyspiańskiego, a Dziady to wywoływanie duchów. W Narodowym duchów nie było — za starzyśmy, by oglądać teatrzyk szkolny, za młodzi na wrzeszenia szkółką niedzielą w kosztownym uniformie.

Szkoda, że aktorzy (a dobrzy przecież! Mariusz Bonaszewski, Budzisz-Krzyżanowska!) nie mogli frunąć pod sufitem, że katedra nie mogła się zbudować, podnosząc widzom włosy na głowach, tekst do tego wprost zaprasza! Czy może być lepszy materiał niż dramat o zmartwychwstaniu, napisany przez złośliwego człowieka? I to człowieka z kapitalną, nieledwie łobuzerską fantazją, który urazy (można ją sobie dośpiewać) nie przelał na papier, lecz konstruktywnie szukał wokół sensu?

Jest jasne, że Teatr Narodowy to niedobre miejsce na egoistyczne eksperymenty. Współczesny eksperyment nazbyt często zamienia się w tandetę. Jednak szacunek dla tradycji nie oznacza, że marmurowe teksty mają być inscenizowane wprost. W tym wypadku należy zresztą stwierdzić, że raczej na rympał... Dziś nie można już tak, że gdy lirycznie, to gramy cicho, a kiedy zbliża się wielki finał, to muzyka ma dudnić do ogłuchu. I to muzyka, mówiąc obrazowo, marna.

Tu miały, także dla młodych, ożyć Pomniki! W istocie fantastyczny, żywy tekst, napisany przez młodego człowieka, został ukamienowany. Gigantyczna dekoracja sprawiła, że Akropolis stało się jasełkami, teatrzykiem kukielkowym, z wypożyczonym z kina dymem (który stał się ostatnio cechą dystyngtywną naszych wizualizacji czegokolwiek). Wspaniały, blaszany głos Ignacego Gogolewskiego (Aktor/Priam/Izaak) brzmiał „spod” tej inscenizacji jak szydercza sugestia innej czasoprzestrzeni, w której reżyserzy potrafią bawić się tworzeniem. Przestrzeni, której Wyspiański był i jest stałym lokatorem!

Niech na koniec przemówi sam Autor. Napisał kiedyś, zirytowany konserwatyżmem konserwatorów Wawelu: „Czy może Ducha jakiego szukacie? Czy też antidotum na ducha? Bawcie się, ale możecie też zamiast tego iść na spacer”. Pasuje jak ulał do spektaklu w Narodowym.

KATARZYNA SZCZERBOWSKA

Stanisław Wyspiański „Akropolis”  
reż. Ryszard Peryt  
Teatr Narodowy